

# Prezydent rozwagi i równowagi

Prezydentem powinien zostać polityk, który potrafi przeciwstawić się dzieleniu Polaków na lepszych i gorszych, wciskaniu Polski w ciasny gorset prawicowej monokultury. Wobec prawdopodobnego składu Sejmu nie powinien to być polityk twardej prawicy

W każdym kraju, który wychodzi z dziesiątków lat dyktatury, długo istnieje przedział dzielący tych, którzy należeli do jej establishmentu lub z niej korzystali, oraz tych, którzy byli jej przeciwnikami - nawet jeśli objawili się dopiero wtedy, gdy dyktatura upadła.

## **Postkomuniści i antykomuniści**

U nas można go nazwać podziałem na "postkomunistów" i "antykomunistów". Nie obejmuje on całego społeczeństwa. To nie jest znany z PRL podział na "My" i "Oni". Zresztą nawet w tamtych czasach podział ów był bardziej językiem walki z reżimem niż opisem rzeczywistości. W rzeczywistości byliśmy "My", "Oni" i "Reszta". "Reszta" czasem była z nami, ale najczęściej była sama z sobą, zajęta codziennym życiem - i w tym sensie jakoś także z "Nimi", bo to było nie do uniknięcia. Dzięki "Nam" kraj targał więzy, przypominając sobie i światu, że nie my wybraliśmy sobie PRL. Dzięki "Reszcie" i - niezależnie od niegodziwości i przestępstw - także dzięki "Nim" kraj trwał i jednak szedł do przodu. Wolniej, niżby szedł w warunkach wolności - ale szedł. Ten obraz jest bliższy prawdy o Polsce Ludowej niż schematy czarno-białe i lepiej tłumaczy stan dzisiejszy.

Także dziś poza podziałem na "postkomunistów" i "antykomunistów" znajduje się większość społeczeństwa - bierna albo popierająca jedną lub drugą stronę stosownie do najświeższych doświadczeń z tymi czy tamtymi. Nie dlatego, że jest "postkomunistyczna" czy "antykomunistyczna" z natury - lecz dlatego, że w danym roku zawiedli ją jedni i wiąże nadzieje z drugimi, w innym zaś roku odwrotnie. Lata 1993, 1997, 2001 pokazują ruchy tego wahadła i zapewne rok obecny także je pokaże. Gdyby podział obejmował całe społeczeństwo, rozkładając je na 10-15 proc. ludzi dawnej nomenklatury i wrogą im resztę - czyli tak, jak obrazował społeczeństwo podział na "My" i "Oni" i jak postrzega je dziś prawica - to "postkomuniści" nie liczyliby się w życiu politycznym. A przecież się liczą.

## **Pozostałości dawnej wojny**

Podział wzdłuż okopów dawnej wojny z dyktaturą, choć dotyczy mniejszości społeczeństwa, wywiera piętno na całym życiu publicznym. Jednym z przejawów jest wyjątkowa wrogość wzdłuż starej linii wojennej - przeplatanie się pragnienia rewanżu i lęku przed odwetem, pragnienie usunięcia ze sceny drugiej strony. Utrudnia to tworzenie rządów i polityk skupionych na dniu dzisiejszym, a debatę publiczną prowadzi w sferę porachunków historycznych.

W Polsce nie może powstać koalicja w poprzek dawnego podziału, choćby partie mówiły podobnie o problemach aktualnych. Powstają koalicje programowo sprzeczne, ale złożone ze "swoich", a w każdym razie "bez nich" - bliskie ze względu na przeszłość, lecz odległe ze względu na potrzeby bieżące. W codziennej praktyce partnerzy, odkładając na półkę wspólnotę historyczną - bezużyteczną po zdobyciu władzy - podkładają sobie nogi, co osłabia trwałość i sprawność rządzenia. Świadomość czyhającego wroga uniemożliwia powstanie korpusu służby cywilnej, bo potrzebni są urzędnicy "swoi", a nie apolityczni.

Dla kraju, który wyszedł z długotrwałej dyktatury, nie jest korzystne, gdy sympatie wyborców za bardzo przechylają się ku partiom po jednej czy po drugiej stronie dawnej wojny. Tak było w roku 2001, gdy wahadło poszło mocno na lewo, i tak jest obecnie, gdy zmierza na prawicę.

Gdyby nie ten przedział wojenny i wrogość po obu stronach, takie przechyły byłyby pożądane, bo żadna ze stron nie odbierałaby ich jako upoważnienia przez naród do wykończenia drugiej strony, lecz jako możliwość zrealizowania własnej wizji kraju bez nadmiernych kompromisów i oporu opozycji. Niestety, relikty dawnej wojny sprawiają, że strona szykująca się do zwycięstwa ulega złudzeniu, że "bój to już nasz ostatni", że teraz tylko "My", że druga strona znika, że wszystko jest do wzięcia i wszystko możliwe.

Taki nastrój narasta dziś na prawicy. Słychać buńczuczne zapowiedzi o rozprawie z

"postkomunistami". Przed wyborami 2001 r. słyhać było podobne, egzekucyjne surmy po lewej stronie. Skończyło się to najazdem na państwo, czystkami ludzi kompetentnych, ale nie swoich, i nadużyciami. Obecne emocje prawicy budzą uzasadnione obawy, że po wyborach "niekompetentnych", bo lewicowych urzędników, członków rad nadzorczych i zarządów zastąpią "fachowi", bo pravicowi, a "uległych" prokuratorów "obiektywni", bo swoi.

### **Krótką historia centrum**

Przez wiele lat wrogów po obu stronach trupa Polski Ludowej powściągało silne, choć nie dominujące centrum. Funkcję tę pełniła Unia Demokratyczna, a potem Unia Wolności. UD, będąc w opozycji, wspierała w imię racji państwowych rząd Jana Krzysztofa Bieleckiego - także przeciw jego koalicjantowi, którym było Porozumienie Centrum braci Kaczyńskich. Odłożyliśmy na bok (byłem członkiem tej partii) urazy z czasu "wojny na górze", gdy liberałowie, walcząc w obozie Wałęsy, masakrowali propagandowo gabinet Mazowieckiego.

Unia bez ukrytych, złych zamiarów chciała - mimo oporu części jej działaczy - wesprzeć rząd Jana Olszewskiego, tworząc z nim koalicję, choć powstał w walce z Unią. Gdy premier pomoc odtrącił, wprowadzając zamieszanie w kraju, Unia - z tego właśnie powodu, a nie z powodu teczek - doprowadziła do dymisji rządu, a potem do utworzenia gabinetu Hanny Suchockiej popieranego przez większość partii rządu Olszewskiego.

Unia Wolności, będąc w opozycji do koalicji SLD-PSL, na początku 1995 r. stanęła obok tej koalicji w obronie parlamentu, gdy prezydent Wałęsa chciał go rozwiązać niezgodnie z konstytucją. Dwa lata później, nadal w opozycji, współdziałała z koalicją w przygotowaniu nowej konstytucji, uznając że jest ona pilnie potrzebna. W latach 1997- -2000, rządząc razem z AWS, Unia skutecznie blokowała różne absurdalne pomysły polityków Akcji - choćby słynne "powszechne uwłaszczenie". Próbę odbudowy centrum podjęto, tworząc Partię Demokratyczną. Niestety, na razie nie znajduje ona szerszego uznania u wyborców. Istnieje więc duże prawdopodobieństwo, że scena polityczna przesunie się niebezpiecznie na prawo, bez tonującego hamulca w środku.

### **Prezydentura współlistnienia**

W obliczu takiej groźby wielkiego znaczenia nabierają wybory prezydenckie. Powinno się do nich podchodzić, mając w pamięci wynik wyborów parlamentarnych, który prawie na pewno będzie korzystny dla partii prawicowych. Dla równowagi politycznej w Pałacu Prezydenckim powinien znaleźć się człowiek, który nie powiększy, lecz pomniejszy zakres władzy zdobytej przez prawicę - aby nie doszło do politycznych ekscesów jakiegokolwiek natury rysujących się w deklarowanych zamierzeniach tych partii.

Musi to być polityk, który oczywiście uzna, że zwycięskie partie mają mandat - w ramach legalizmu - do realizacji swych programów. Zarazem jednak powinien być to polityk, który potrafi przeciwstawić się naruszaniu norm demokratycznych, politycznemu dzieleniu Polaków na lepszych i gorszych, wciskaniu Polski zróżnicowanej tradycją, obyczajem, światopoglądem i wyobrażeniami o przyszłości kraju w ciasny gorset prawicowej monokultury. Na tle prawdopodobnego wyglądu sali sejmowej po wakacjach nie powinien to być prezydent twardej prawicy.

Wcale nie chodzi o to, by musiał nim zostać kandydat lewicy. Prezydentem powinien zostać człowiek - z lewicy czy nie z lewicy - który pokaże się wiarygodnie jako osoba nieulegająca wpływom żadnego z wojowniczych obozów, przeciwna "szarpaniu cugłami", dobijaniu Polski postkomunistycznej przez - jak głosi nazwa wymyślona po prawej stronie - "Polskę AK", czy burzeniu jednej Rzeczypospolitej, by budować następną. Wybierzmy człowieka rozsądnego, który pokaże, że ma talent uspokajania, godzenia, a jak trzeba - poskromienia tych członków dużej rodziny żyjącej pod wspólnym dachem, jaką jest Polska, którzy się nienawidzą i są kłótlivi. Przecież to tylko część z nas, a nie my wszyscy.

*(Gazeta Wyborcza 19 lipiec 2005 r.)*